

- 1936R -

ŚWIATOPELK KARPIŃSKI

TRZYNAŚCIE WIERSZY

WARSZAWA 1936

WYDAWNICTWO J. PRZEWORSKIEGO



TRZYNAŚCIE WIERSZY

- 1936 R -

Tegoż autora:

„LUDZIE WŚRÓD LUDZI” — K. Neumiller. Łódź, 1932.

„MIESZCZAŃSKI POEMAT” — Wydawnictwo J. Przeworskiego
Warszawa 1935.

W przygotowaniu:

„KREDA NA PARKANIE” — wybór satyr.

- 1936 r -

ŚWIATOPÉŁK KARPÍŃSKI

TRZYNAŚCIE WIERSZY

WARSZAWA 1936

WYDAWNICTWO J. PRZEWORSKIEGO



323284/80

884-1

INWOKACJA

Po twarzy mnie bije poezja i bólem piecze mi twarz.
W oczach wiruje i pęka rozkołysany świat.
Myśl się przeryła, jak tunel przez przestrzeń i przez czas.
Jestem tu sto lat temu, albo za dwieście lat.

Na wartkiej, kamiennej drodze, przeprutej przez lasy i blask,
wyboje podają z ust do ust karocę wtuloną w pęd.
Poprawiasz obłok peruki, zdejmuję dzwoniący kask.
Jeszcze trzy mile miłości i krzyk i kopyta i skręt.

W puklach kurzawy zgubiłem moje znaczone karty.
Warszawo pijaństw i świtów! Wargi suche, jak talk!
Szpado złamana u gardy, jak strumień od źródła oddarty!
Jadę przez krzewy kolorów, prosto pod chrzęsty walk.

Młodzieńcy, jak do komunji, kornie klękają na starcie.
Spod stóp rozwija się bieżnia, jak wstążka, jak Wisła modra.
Życie dwudziestoletnie na innej złożyłem karcie
i dłonie na inne przysięgi i wargi na inne biodra.

Błyskiem przez szpik kręgosłupów, świstem przez mroźne
[szkielety,
wirem w mózgi klaszczące, igłą w spęczniałe jądra,
wbijam po rękojeści rymów moich sztylety,
aż krwią ocieka, jak rzeźnik ta mowa nowa i mądra.

O! Publicysto siwy, biegły w swoim rzemiośle,
każesz wyciągnąć mi dłoń przez słotę bieżących dni,
zaglądać w twarze przechodniów i w usta całować radośnie,
żeby unieść na wargach smak czarnej, ulicznej krwi.

Mam zdrześć się z rzeczywistością i nowe bitwy wyśpiewać,
lecz pokaż mi owe zwycięstwa, po których nie będzie się
[ziewać,
a strofy pokruszę o próg, trzykrotnie przekreślę ich piękno,
do brody twej tłumi przywidę i tłumi przed brodą uklękną.

Lub oprzyj swe pióro o ścianę, jak murarz wieczorny kielnię
I zerwij z twarzy patrzącej ów uśmiech biały i starczy.
Daj pieśniom się smarzyć na wichrach. Na nic tu wasze
[patelnie.
Niech popiół zostanie na tacy i ciało bezwładne na tarczy.

Martwa kobieta o oczach, które się rąbie toporem,
nie zrodzi dziewczyny tańczącej walca przez obie półkule.
Sławię Klio, Euterpę, Talję i Terpsychoę,
Polimniję, Uranję, Kaljope, i słodką Erato... najczulej.

One cię głaszcząc płasami, wwiodaą za ręce w ogrody,
gdzie pieśnią drżą liście frunące, a brzozy czmychają zza
[brzóz.

Wstąp do mych gajów lirycznych, niby strudzony na gody.
Tędy cię wyprowadzę nad brzegi epickich burz!

SONET O NICOŚCI

O krok się przed dzieciństwem skończyła nieznacznie...
Kołys wirów... i trwoga, że znowu się zacznie.
Pod nurtem snów lipcowych bije o powierzchnię.
Usta ludzi bezsennych... A jeśli nie pierzchnie?

Gdy rozchylisz swe myśli, jak patrzący krzewy,
dojrzysz kamienną kąpiel i czarne rozlewy.
Ciało zakwitnie śmiercią, ale cierpkie życie
czy odfrunie, jak obłok, by zniknąć w błękicie?

Ziemia przez żywokształty żarłocznie porośla,
w cieniu śmierci złożyła swe pluszczące wiosła,
I czekamy we frakach na nasze odjazdy.

W lotnych trumnach, jak w łodziach pod piachem ojczyzny.
Karmiony żyzną ziemią, jakże jesteś żyzny.
Księżyc maską pośmiertną straszy młode gwiazdy.

PRZEBUDZENIE

Słońce zwisa znad chłodów, jak jabłko z jabłoni.
Ptactwo nad snami goni blasków okruszyny.
A przez śliwkową nagość bezwładnej dziewczyny,
poszła czerwień zbudzenia od stóp aż do dłoni.

Jej wargi rozcisnęły pierwszy uśmiech siny,
płynący lilją świtu po wczorajszej toni.
Poranny pocałunek, jak owoc się płoni,
zapłątany w zielone ciała, jak w rośliny.

Na talerzach cytryny błękitnieją złote.
Patrzymy zadziwieni na słoneczną słotę.
Myśli jeszcze są senne, usta już gorące.

Jakże kwietnie i lotnie wszystko się nazywa,
kiedy pod bosc nogi jeszcze raz podpływa,
dzień niosący nas dwoje, jak tratwa, pod słońce.

HEL

Sosny schodzą stadami, by się kąpać w falach,
Aż barwne domki płyną przez piaszczyste życie
Dwa błękity wpatrzyły się w swoje odbicie,
i żaglówka, jak mewa, buja po oddalach.

Fale pieniają po niebach białe błyskawice,
które w skrzypach konarów pachną na rozdrożu.
Ryby skaczą w igliwiu, a wiewiórki w morzu.
Lasy w bursztyn obfite, jak Bałtyk w żywicy.

Nad szumiącą zielenią, nad płynnym granatem,
żytnie słońce rumiano nucać się wypieka.
I rozbarwią się domki nim je cień ogarnie.

Jeszcze popiół wybrzeża pachnie pełnem latem,
lecz niebo ma smak nocy i blaskiem obleka
Twoje oczy i gwiazdy i morską latarnię.

ZWIERZĘTA I KWIATY

Łąka na wieczór dolin rozwełniła trawy.
Kaczeńce włożą w rowy, a owce na wzgórze.
Oto ruń pod powierzchnię zmierzchu się zanurza.
Owce płyną na wyspach poprzez czarne stawy.

Obłoki zeszyły stadem na sine podnóża.
Znaczą drogę do obór puklami kurzawy.
Owce czekają kwiatami męcząc swoje sprawy.
Księżyc zapala wzgórze i ścieżki rozsmuża.

A wilki dzwonią cwałem przez srebrne manowce,
pobłyskują, jak światła wsi przyplywającej,
na obłoki schodzące z zamarłych zieleńców.

Niby podarte kępy lśnią pożarte owce,
wilki pławią w księżycu swe pyski dymiące,
z których zwisły, jak wąsy, bukiety kaczeńców.

CHŁOPI

Płodni, jak śliwy szczęśliwe, prości, jak gorzkie sośniny
i pracowici, jak brzozy, które po piachach się pasą,
wiodą po polach, po gajach swoje zielone godziny,
aż ziemi ciała oddadzą, a dusze skrzypiącym lasom.

Żyją wrzeźbiając korzenie, w gnil, w strumienie i w głazy.
Na wichrach szemrzą, jak deszcze. Od nocy drżą księżycowej.
Jak drzewa płyną wraz z glebą przez wieki i krajobrazy.
A kiedy się zbiją w gromady — to stoją jak mroczne
[dąbrowy.

Stare dęby się walą z pułapu puszczy na dno
z trzaskiem suchych gałęzi, z hukiem omszałych trzonów.
I leżą, jak barki w moczarach paprotnie pożarte rdzą,
zanim w śmierci zielonej i urodzajnej utoną.

Obrosną jagodą i grzybem, nakryją się kopcem jesieni,
pograżą w muł uroczyska, będą zapadać się wgłąb.
Na wiosnę zieleń gąbczasta tłusto wyrośnie nad niemi
i słońce zacznie mrzyć mroźnie na sinych oparów kłąb.

Potem ziemia nawarstwi pokoleń żyzne nawierzchnie.
O! Pogrzebane cmentarze, pieczary i torfowiska!
Szum waszych myśli i liści znieruchomieje boleśnie,
rozwieją się mroczne baśni i ognek, co nocą rozbłyska.

A z gleby wznoszą się młodzi, nowiną pastuszą i śpiewną.
Rozświergotani, jak zagaj, nim skamienieją, jak bór.
Oto budulec ojczyzny — ludzkie, sękaty, drewno,
Na krokwie, na progi, na stropy — na modrzewiowy dwór.

Głęboko jest węgiel i nafta. Wysoko historia śpiewa.
Minęły gaje i wioski, nikt owych nazw, ani imion nie zna.
Otośmy ludzie nieznani, nieznane zwierzęta i drzewa.
Pomiędzy wierszami dziejów jest miłość i śmierć i poezja.

PIERWSZA MIŁOŚĆ

Już w sen odpływam z łbem na dłoni
i umierają moje oczy.
Czaszka, jak garnek przechylony
broczy.

Po księżycowym, drętym chłodzie
srebrzy przez noc, przez dno jesieni.

Jak kręgi po umarłej wodzie
myśli rozlały się w przestrzeni.

Zamigotały chrzęstem blachy,
jedyne raz od owej fali,
latarnie, bruki, piętra, dachy,
zaułki zamrożone w dali.

Zadrżały szyby w twoim domu
i załamały się, jak atlas,
jedyne raz od owej fali.

Wyrosłaś w oknie pokryjому
i nie zapalasz światła.
W otwartą noc się czujnie wczytasz,
popłyniesz z drzew szelestem
i nawet siebie nie zapytasz,
a pojdziesz, że tu jestem,
że drgnąłem w ziębiach mojej toni,
światlistym słupem z dna się wznoszę,
i mknę strzelisty a uśpiony,
roślinne lwy, korale, płoszę.
Dziurawię łbem przestworza grząskie
i muszę w górę tak pionowo.
Rozwijam pęd jak srebrną wstążkę,
Już jest mi granatowo!
Już granat lśni zielenią ciemną,
już zimna zieleń jest pode mną.
Lecę w ciśnienia coraz bledsze
i słyszę furkot owej jazdy,
mijam roztwory coraz rzadsze,
patrzę:
pod stopą mam powietrze.
Wyciągam dłoń po gwiazdy.

Kołuję wokół twego domu,
nad nocą piszę kręgi złote,
a siedem ich naliczysz.

Twój krzyk nie mówi nic nikomu,
bo przecież ty nie krzyczysz.
Strach ci odrąbał ruchy rąk,
gdy napisałem siódmy krąg.

Roślinna rośniesz. Stoisz błada.
Zawijam lot nad twojem czołem.
Na szyby bitwą skrzydeł spadam,
Zakołysałem się, runąłem.

Zderzam się brukiem, łbem i chwilą
i sen przebijam ten nawyłot.

Pęknięta głowa w dłoniach szumi,
i świat parzyście w oczy wsiąka.
Kim jesteś, w jakim błądzisz tłumie,
przez dzień tak długi, jak rozłąka?

MIEJSKIE PORY ROKU

I

WIOSNA

Światła miasta, jak jaśminy,
nocą się wilżyły.
W linje, w ljanya, w ziel i w liny,
w gąszcz mnie uwieżyły.

Jasnym kwieciem rozkwitały,
jak wczesne okrzyki.
A przez całą noc śpiewały,
telefony i słowiki.

Od słowika, aż do słowa.
Słowa fruną, jak gołębie.
Biała mowa. Lotna mowa.
W niebie ją rozkłębię.

Jak gołębie, niby wrony,
albo jak skowronki.
Rano cichły telefony
i zakwitły dzwonki.

Zanuciły po mieszkaniach
dzwonki i jaśminy.
W niebo się skowronek wdzwaniał,
dzwoniły godziny.

Jeden dzwonek przenikliwy
zarżał w moim domu.
A czy jestem dziś szczęśliwy,
nie powiem nikomu.



II
LATO

Jest niebieska woń benzyny,
kiedy asfalt taje.
Wprost z Warszawy wychodzimy,
w tropikalne kraje.

W wąwóz ulic warstwy pięter,
sypią gruz upalny,
ale zaraz za zakrętem,
dwie wyrosły palmy.

308322

Miasto starte na Saharę,
dyszy w lipcu, jak w pościeli.
Położymy się pod żarem.
Popiół nas spopieli.

Oczy patrzą pod powieki.
Bardzo im czerwono.
Widzą noce, widzą rzeki
i zieleń zieloną.

Wróćmy w cień się spowić prędej,
miły ptakom, gronom, listkom.
Wezmę pióro, wezmę pendzel,
wymaluję wszystko:

w koło, które płonie minją,
wpiszę ogniem złotą kulę.
Obie palmy złączę linją
i niech suszą się koszule...

III

JESIEŃ

Wicher się nad miastem ślizgał,
białe kręgi w kurzu pisał,
gruzem z chmur wydartym bryzgał,
wszystkie windy rozkołysał.

Zdmuchnął pannę z parasolem,
szarpał nerwy telefonom,
stado wron odrzucił w pole,
potem niebo cisnął wronom.

Zerwij suknię jednym ruchem,
masz ten zygzak w swoich dłoniach
i pomkniemy w zawieruchę,
po pokojach, jak po błoniach.

Windy biją, niby dzwony:
z głów sfruwają kapelusze.
Spłoszył wiersz niezakończony.
Okno z trzaskiem zamknąć muszę.

Śmiech odfrunął. Musnął cieniem.
Sufit niebem jest ponurem.
Łza rozbiła się o ziemię.
Nie patrz szklanno. Nie patrz w górę.

Jeszcze się za oknem trzepie,
po kałużach zawieruszy.
Jutro subjekt w smutnym sklepie
sprzeda trzysta kapeluszy.

IV

ZIMA

Dokąd idę z twarzą w śnieżycy?
Czyje lzy mnie po wargach siekają?
Gdzie jest księżyc świszczącej ulicy?
— Daleko.

Lecą duchy umarłych kwiatów,
na ostre po szybach kwitnienia.
Zapadam się w świat lodowaty,
jak w czarny przerębelski milczenia.

To noc. Na okapy i jezdnie,
dzień się ściele bezniebie.
A paltu mojemu jest gwiezdnie,
a butom moim jest srebrnie.

Po zamrożonej chrzęszczącej jesieni,
lub trafiam stopą w puszyste morza,
dziurawię pęki białych płomieni,
przedzieram się przez śnieżny pożar

i groty nocy i dnie szronowe,
aż pod pogody dłonię wychyłę,
by łowić ulotki reklamowe,
rozkołysane, miejskie motyle.

Gonić frunące, kręto, daleko,
a nagle chwytać w zdyszonym biegu.
I ścisnąć mocno, dziwiąc się lekko,
że to jest płatek pierzasty śniegu.

GROTESKA O GRAJKU I WIOLONCZELI

Gdzieś na ulicy nienazwanej,
gdzie trzeźwi trafić już nie mogą,
żegluje nocą szynk pijany
ze śpiewającą w nim załogą.

Bezzębne usta z butli piją,
ochlaj podają tu anieli.
A w kłębach dymu gra nam trio
i płacze łzami wiolonczeli.

Nieboszczyk niski i zielony,
gładzi ją smyczkiem po podbrzuszu.
W butelce pustej toną tony
i oto usta płakać muszą.

Gra tu tak rok i gra dwa lata,
nad wiolonczelą wciąż się karli.
Dawno za drzwiami niema świata,
dawno już wszyscy trzeźwi zmarli.

Lecz raz jak zawsze łzawy grajek,
po wiolonczeli smyczkiem pisze,
a ona nagle łkać przestaje,
ze strun wylewa wielką ciszę.

Knajpa nie widzi, knajpa pije,
smyczek milczenie gładzi pięknie,
a wiolonczela w oczach tyje
i co utyje — to pojęknie.

Dziwnie się oto plecie bajka:
kiedy na ciszę już spojrzeli,
ujrzeli płaczącego grajka,
przy grubiejącej wiolonczeli.

Zanim podano wate, szczypce,
ona zrobiła się pękata
i z wnętrza jej wypadły skrzypce
maleńkie i krzyczące „tata“.

A gdy podrosły i potrosze
nabrały wdzięku, oraz linji,
od trupa kupił je za grosze,
jakiś pijacki Paganini.

ŻEBRACY

W południa żółte mają zdechłej nocy zapach.
Śpiewają ponad handlem jakieś dziwy święte.
Jak udreżone raki pełzają na łapach
po spieczonem korycie rzeczółki wyschniętej.

Płaszczą się na chodnikach na widok przechodni.
Zlizują jezorami pył z szorstkich kamieni.
A skamlą, bo nie jedli. A tańczą, bo głodni.
I wyją do księżyca, że nic się nie zmieni.

Można przechodząc mimo plwać im prosto w twarze,
lub wetrzeć w bruk obcasem dłoń co tak się łasi.
Stoją we własnym śpiewie, jak kłody w pożarze.
Tarzają się w płomieniach, których nikt nie gasi.

Zwęgleni już doszczętnie, jeszcze długo skwierczą.
Należy ich pozbierać i oprzeć o ściany.
Niechaj nucą cichaczem, niech okropnie sterczą,
niech czekają na czerwień pieśni nienazwanej.

A kiedy wzbierze ona huczącym przypliwem,
o zimowej północy zaśpiewa w śnieżycach,
żebracy wyjdą stadem głośnem i szczęśliwem
boso tańczyć na śniegu w zaułkach księżycy.

ZIEMIA

Wkręca się w swoje obroty, aż wichry pryskają, jak drzazgi.
W pęd wwirowana nawylot jest gorejącym pociskiem.
Białą wpisała się krechę w odfruwające gwiazdy.
Po stycznej do katastrofy krzesze elipsę iskier.

Wpada w rozlane pogody, by je ze świstem dziurawić.
Nagle wiąże się z niebem ostrym zygzakiem natchnienia.
W zieleni ziejącej życiem prują się żyły błyskawic.
Trzaskają toczony kolumny, topnieją łuki sklepienia.

Pięściami po krajobrazach! Głucho rymują się gromy.
Westchnienia są fioletowe. Tnie przezroczysta ulewa.
Z drzew ściekają gałęzie. Drżą papierowe domy.
Słońce wybucha z hukiem. Ziemia się śmieje. Dojrzewa.

Kołyszą się morza i serca, trzeszczą pokłady granitu.
Radujesz się jeszcze czerwono, a już granatowe lzy.
Fale się szarpiają z księżycem i w dół uciekają ze szczytu.
Obłoki leją się z nieba do wspomnień, jak rzeczne kry.

Już gubi podkowy tęczy, jak tabun tratuje w tętencie.
Z łbem wygiętym do boju rwie purpurowo w błękity!
Na skórcie od pomarańczy poślizgnie się na zakręcie
i w awanturę gwiazdzistą odfrunie z pękniętej orbity...

GOTYCKI POEMAT

„Zanim śmierć na mych wargach czarną pieczęć złoży
zamurujcie mnie żywcem, a ku chwale bożej.
Niechaj korzę się boso i kruchemi słowy,
zakuty w cztery ściany, jak w pancierz stalowy“.
Rzekłem. Dłoń opuściłem, jak gałąź zwichniętą.
Umajono mi włosy, jak na białe święto.
W katedrze biją dzwony i tłum się kołysze.
Daleko srebrny gołąb w ciszy koła pisze.
Krocę aleją mnichów w pieśni wyrąbaną,
jak schody mi się ścielą akordy organów.
Klękam we wnęce murów, gdzie stoją murarze.
Wszystkie oczy goreją. Stygną wszystkie twarze.
Przed Bogiem, który w niebie, postać łamię bladą,
a oni w owe przejście cegły rzędem kładą.
I miarowo murują moją ciężką ciszę.
„Zabiłem!“ (Czy ja krzyczę, czy własny głos słyszę?)
Zerwałem czarnych kwiatów naręcz na jeziorze,
umaczałem w księżycu o zielonej porze
i jeszcze pełne jadu i kropel rzęsistych
położyłem na piersiach dziewczyny soczystych,
a kiedy gasła pełna śpiąca urodzajna,
wezbrała we mnie miłość zatruta i tajna:
Marmurową martwość, jak posąg zwalony,
oplotłem złym powojem. Liściasty. Spieniony.

Bluźniłem!!! Bo w modlitwach nieraz mi się zdało,
że piłem twoje wino, pijąc owe ciało.
A teraz słucham cegieł w radosnej pokorze.
Wkoło mnie mur budują, we mnie dom twój, Boże.
Już ostatni słup światła. Już ostatnia cegła.
Ciemność wali się, piętrzy i ściele poległa.
Teraz tańczę dla ciebie, w wątle dłonie klaszczę,
fruwam ciężki ze szczęścia, niewidomy patrzę,
do ziemi się przyplaszczę, wdrapuję na ściany,
łbem trzaskam po kamieniach i padam pijany,
albo z ręką nad głową i na jednej nodze,
stoję przez dwa tygodnie, niby krzyż przy drodze.
Zrywam się, dudnię w studni, drobie żwawym krokiem,
kiścią sięgam pułapu, gdy się sprężę skokiem.
Na czworakach dokoła i na jednym ręku,
aż podaję ci usta ze świeżą piosenką.
Potem — żebrać pod ścianą — czekam na jałmużnę.
Szarpie piersi do mięsa, lub w rysunki różne.
Strzępy szat przepłoszyłem dawno z mego ciała,
żeby nagość się jeno w ciemność otulała.
Piękny jestem??? Poczekaaj!!!! Rozebrać się muszę,
zrzucić w kął zdarte ciało, by ci oddać duszę
i rozpostrzeć się wreszcie nicością i prochem,
cały w pianach i w łajnach, i wołać, że Kocham!

Czy słyszysz pieśń lilijną, co przez mury wsiąka?
Tak śpiewają strumienie, kiedy kwitnie łąka.
Słowa lecą, jak płatki, jak ptaki rosiste,
nawet mury dla pieśni tej są przezroczyste.
A to śpiewają o mnie. I tłum się kołysze.
Daleko srebrny gołąb w ciszy koła pisze.
Ciężkie turnie akordów. Pękające dzwony.
Kroczy orszak czerwony, złożony, natchniony.
Wieczną wiarą goreją spojrzenia pielgrzymie.
I usta rozmodlone niosą moje imię.
W dal... Po stopniach pokoleń... Na szczyt niepojęty!
O! Jakże jestem święty... święty. Święty!!!

CZARNY MAJ

wiersz na zgon Marszałka Piłsudskiego

Wtem śpiewające drzewa pochyliły głowy
i przeszył noc majową wiatr listopadowy.
Zdzierał liście z gałęzi i uśmiechy z twarzy.
Pierwsze krople. Łzy pierwsze. Nie stawajcie szarzy
i nie szeptajcie wieści w skamieniałem mieście,
lecz czarną drzazgą w sercu w życie ją ponieście,
by atom owej chwili zawsze mieć w ukryciu,
bo przecież taka wiosna jedna była w życiu.

Pamiętasz? Wszystkie mózgi długo w noc się pałą.
Przed nami leżą myśli porąbane z żalu,
jak woda poprzez palce, w przeszłość nam przecieka,
ojczyzna, co się zrosła z imieniem człowieka.

Już inne krajobrazy. Dziś inaczej dyszy
brzezina rozbielona wśród piaszczystej ciszy.
Inną melodję nosi w liściach grusza stara,
gdy brodzi po konary w pszenicznych pożarach.
Inaczej klaszcze słowik w jaśminach księżyca,
gdy spoza tłumy liści nocą się zachwyca.
Jestem w obcej krainie. Gdzie skieruję kroki? — :
Ojczyzna się rozdarła na Polskę i Zwłoki.

Ubogi, jak pod krzyżem na wiejskim rozdrożu,
a przecie ja nie jeden, jeno kropla w morzu.
Tak wyrósł ów dzień czarny ponad białą nocą,
serca dzwonów i ludzi w powietrzu trzepocą.
Historja bije w żyłach, w ciałach naszych krąży,
wzbiera nurtem, przez tajne pieczary się draży
i porywa i wali, jak powódź po błoni,
aż o srebrne dno duszy kroplą krwi zadzwoni.
Stój! Czy w sobie to słyszysz?

Oto wszyscy słyszą
i odkrywają głowy, by się nakryć ciszą.
Ptactwo żałobnych druków, niby czarne kruki.
Pod deszczem tłum bez twarzy: głowy, buty, bruki...
I znowu się na dwoje ojczyzna rozedrze.
Patrzymy.

Milczy trumna złożona w katedrze.

Szary, jak skiba roli, jak... ziemia... kochany...
Zasklepiły się dzieje w cztery wąskie ściany.
Odchodzimy. Wzrok w ziemię. W żyzną tajemnicę.
Tak idziemy przez życie idąc przez ulicę.

Wiatr wystrzały i gromy w jedną skargę targa.
Twoje imię, jak opłatek niesiemy na wargach.
Gdy w zaułku przyszłości już znikniemy tłumnie
Ono jedno nam starczy za wszystkie komunje...

SPIS WIERSZY

	str.
Inwokacja	7
Sonet o nicości	10
Przebudzenie	11
Hel	12
Zwierzęta i kwiaty	13
Chłopi	14
Pierwsza miłość	16
Miejskie pory roku	19
Groteska o grajku i wiołoncezeli	27
Żebracy	30
Ziemia	32
Gotycki poemat	34
Czarny Maj (wiersz na zgon Marszałka Piłsudskiego)	37



308322

Nakładem
WYDAWNICTWA J. PRZEWORSKIEGO
ukazały się:

Marjan Hemar „Koń Trojański”

Światopełk Karpiński „Mieszczański Poemat”

Antoni Słonimski — Wiersze Zebrane — wyd. II.

Juljan Tuwim — Wiersze Zebrane — wyd. IV (w druku)

Jarmark Rymów — wyd. II.

Kazimierz Wierzyński — Utwory Zebrane — wyd. II.

WiMBP im. J. Piłsudskiego
w Łodzi



239000308322

30-
5558 / 12

308322